

Co wydarzyło się na Tatooine... ?

Vair Bluhl żałował, że w tym momencie żył. Nie żałował tego oczywiście w dosłowny sposób i nie miał zamiaru w najbliższym czasie wskoczyć prosto w paszczę rancora, choć gdyby w tym momencie w zatłoczonym, głośnym i zadymionym barze na podrzędnej stacji kosmicznej na Zewnętrznych Rubieżach, która nosiła paskudną nazwę „Hutt’s Heaven”, jakimś cudem pojawił się rancor, to mógłby to rozważyć. Były jednak zdecydowanie prostsze, szybsze, mniej spektakularne i mniej bolesne sposoby na rozstanie się z życiem. Nie. Tego nie zrobi. Mógłby jednak w paszczę rancora wrzucić Satine Wren, która była powodem dla którego jego poirytowanie skokowo rosło na przestrzeni ostatnich tygodni.

Vair łypnął na młodszą i zdecydowanie bardziej od niego żywiołową i energiczną mandaloriankę jednym, biologicznym okiem. Na jego pierwszy rzut nie prezentowała się ona w jakiś straszny sposób, choć z całą pewnością nie była ona w żaden sposób konwencjonalna, przynajmniej jeśli była mowa o mandaloriańskiej kulturze, bo na Zeltros z pewnością z łatwością by się odnalazła. Włosy względnie krótkie, na tyle by mogły być skryte pod hełmem i w kolorze gumy balonowej prezentowały się obecnie zdecydowanie lepiej niż kilka dni wcześniej, kiedy pomalowała je na każdy możliwy kolor znany mężczyznom sprawiając, że jego nowe, mechaniczne oko dostawało oczopląsu od samego zerkania w jej kierunku, a jego głowa bolała od samego patrzenia. Poza tym jej zbroja, świeżo wykuta przez klanowego płatnerza również prezentowała sobą całą gamę kolorystyczną. Gamę kolorystyczną którą osobiście nałożyła. I dwukrotnie zmieniła. W ciągu ostatniego tygodnia. Bo miała taki kaprys. Ogółem – niska i kolorowa, Satine siedziała obok niego, choć i siedzeniem tego nie można było dokładnie nazwać. Siedziała, owszem, ale w sobie tylko znany sposób pozostawała w ruchu. Była zarazem w statyce i dynamice, jeśli miało to jakikolwiek sens, a Vair jeszcze nie wypił tak wiele by mnożyło mu się przed oczami lub świat powinien wirować, a po podłodze biegać miały białe myszki lub Laboi czy Kushibany. Prawdę mówiąc odkrył już jakiś czas temu, że choć jego towarzyska kolorystycznie pasowała do Zeltronów i Zeltros, to nie potrafiła pić tak jak oni, choć z całą pewnością się starała. Tak więc dolewał jej i zamawiał jej za każdym razem jak najwięcej szklanek alkoholu byleby jak najszybciej padła twarzą na blat stolika i miał chwilę spokoju.

Czemu zaś nie miał spokoju? Cóż, co oczywiste przez nią! Spotkali się oni na Tatooine, jak on nienawidził tej planety i tam, o wiele młodszą od niego kobietą, dla wielu wręcz dziewczynką, uratowało mu życie! A przynajmniej pomogła mu uciec z naprawdę porządnych kłopotów w jakich się tam znalazł. Problem polegał na tym, że teraz, przy każdej okazji zadzierała swój hełm do góry i opowiadała wszystkim jaka to nie jest wspaniała. To, że w trakcie misji ratunkowej została rzucona przez jednego z huttyjskich ochroniarzy jak szmaciana lalka w tłum, to tego nie wspomni, nie! Lub to, że postrzeliła jednego z gladiatorów-niewolników na arenie celując w siepacza tych Robali, to tego również nie wspomni, nie! Za to z chęcią opowie niestworzone historie jak to w ogniu wybuchających detonatorów termicznych wyciągnęła go z areny niewolniczej trzymając go nieprzytomnego na jednym barku, a na drugim mając Marłę, która w biegu strzelała ze swojej snajperki w kierunku najemników

syndykatu przestępczego. A przynajmniej do tego poziom absurdu w jej historiach zmierzał. No właśnie, była też kwestia Marli, która poszła po drinki, ale mniejsza już o nią. Z nią można było chociaż normalnie porozmawiać. A co do samej historii, to zaczęła się ona nad Tatoonie...

To była jego pierwsza, samodzielna wyprawa, na której miał zdobyć fortunę i sławę jako łowca nagród. A gdzie lepiej ją zacząć jak nie na Tatoonie, przybywając na planetę w podejrzanym wyglądającym statku kosmicznym? No właśnie. Zewnętrzne Rubieże były jednak niebezpieczne, jego okręt został zaatakowany, a po bohaterskiej obronie z jego strony, kapitan Sandry i załogi, musieli uciekać w kapsule ku powierzchni planety. Tam znowu, szczęście w nieszczęściu... Zostali zaatakowani przez grupę z syndykatu Czarnego Słońca. Czemu szczęście? Oh, mieli śmigacze, a oni wylądowali na środku pustyni. Darmowy środek transportu do cywilizacji i do Mos Espy! Był uratowany i przeżył swą pierwszą przygodę, choć nie zdobył fortuny i bogactwa. Jeszcze. Śmigacz był jednak jego, więc był na plus pod względem środków transportu. Podobnie jak i wrogów.

Sandra była ranna, tak więc zostawił ją pod opieką lokalnego lekarza (duży błąd), który zdecydował się jej pomóc, a tymczasem on sam zaczął przyjmować zlecenia. W tym wypadku na Ludzi Pustyni, którzy nękali okoliczne farmy wilgoci. Walka nie była łatwa, ale szczęście mu sprzyjało, kolejne zwycięstwo i kolejny sukces i pierwsze kredyty. Nawet zdołał odnaleźć jednego z członków załogi okrętu, na którym tu przybył i miał zamiar zabrać go do pani kapitan, która już jednak nie żyła. Lekarz, a jak się wkrótce miało okazać profesja lekarza była cholernie podejrzana na Tatoonie, prowadził farmę organów. A Sandra, członek okrętowej załogi i on mieli być, a niektórzy już byli, najnowszymi plonami. Nie miał jednak zamiaru ginąć, o nie! Nie po to tu przybył. Pokonał doktora i jego ludzi, ba! Przesłuchał ich i zdobył ich majątek i zamknął cały proceder, a ich samych w chłodni by zginęli z zimna. Ironia, prawda? Zginąć z wychłodzenia na Tatoonie. Mógłby nawet powiedzieć, że na swój sposób było to poetyckie. Jednocześnie jednak był to cholernie głupi z jego strony i miało się za nim to ciągnąć przez całe Tatoonie, a Satine mu to wypominała. Młoda nie miała w zwyczaju zostawiać za sobą wrogów - tych prawdziwych czy potencjalnych. Jeśli już, to wołała zostawiać za sobą trupy. Choć brutalne, to też i praktyczne podejście. Bowiem wkrótce miało mnie ścigać całe Tatoonie, bo wystawiono nagrodę na moją głowę na shadownie. Wiele milionów kredytów, w większości te które wyciągnąłem z sejfu na farmie organów.

Dość powiedzieć, że wszedłem też przez to w konflikt z Czerką, a raczej ich ochroniarzami, którzy to wspierali lokalnych „biznesmanów”. Przechytryłem jednak los raz jeszcze i przy niespodziewanej pomocy Rycerza Jedi zdołałem uciec. Już nawet nie będę wchodził w moje przygody i konfrontacją z gangiem Jawów. Jawów, czy ktoś by w to uwierzył? Na Tatoonie każdy jest sobie nawzajem rancorem. Naprawdę. I co śmieszne lub przerażające, Jawy były najgorsze. W taki sposób znalazłem się w klinice w Mos Easley. I raczej wiadomo do czego to zmierza. Lekarz. Będący łowcą nagród. Który mnie rozpoznał. I stwierdził, że

zgarnie nagrodę. A przy okazji odda mnie tutejszemu bossowi świata przestępczego, Huttowi, który lubi wystawiać mandalorian na arenie.

Wbrew temu co mówi Satine, żadnego rancora na arenie nie było, ale było wielu niewolników i wojowników. Walka była zaś zaciekła i brutalna. Prawdę mówiąc nie wiem czy bym przeżył gdyby ona i Marla się nie zjawily, a jeśli nawet tak, to byłbym gościem w celach Jego Oślizgłości i walczył w kolejnych turniejach. Także cieszę się, że mi pomogły, naprawdę. Ale cholera... Młoda działała mi na nerwy. Wdzięczność ma jednak swoje granice!

Oczywiście teraz, na wpół przytomna od koreliańskiej whiskey, Satine opowiadała tę historię z zupełnie innej i całkowicie wyolbrzymionej i fantastycznej perspektywy. Był to absolutny gwóźdź programu, a biorąc pod uwagę stopień jej rozchwiania od pionu wyglądało na to, że wkrótce zjedzie pod stół. Do tego czasu musiał jeszcze wytrzymać jej głupie gadanie i półuśmieszki i śmiechy jej rozmówców. Następnym razem będzie musiał pójść do lepszej kantyny i wykupić sobie miejsce VIP – pojedyncze. Bez Satine i przypadkowych osób, które mogłaby zaczepić. Tymczasem...

- No i... Spotkałam go przy-przy-padkiem. Widzicie... To było tak, że... - Satine zachwiała się nieco na swoim miejscu i dla stabilizacji podparła swoją głowę o rękę, po której to jednak pomału i sukcesywnie zjeżdżała w dół, coraz to bliżej i bliżej stołu. Mimo wszystko opowiadała historię dalej, choć coraz bardziej mamrotając, śliniąc się i chwiejąc ku ucieście jej słuchaczy.

Satine przybyła na Tatooine, podobnie jak wielu przed nią, w poszukiwaniu fortuny. Każda dobra historia bowiem zdawała się zaczynać na jakiejś podrzędnej, zapomnianej, piaszczystej planecie. I w tym wypadku miało być podobnie. Akurat rozstała się ze swymi siostrami, z którymi wykonała drobne zlecenie dzięki któremu zarobiła sporo kredytów i mogła poświęcić chwilę czasu na zwiedzanie Mos Eisley, co szybko wiązało się z rozczarowaniem. Dziura jakich mało i nie wiedziała czemu holo-filmy czy seriale zaczynają się właśnie w takich miejscach jak to. Z nudów, mimo że miała zamiar złapać dzień czy dwa wolnego na planecie i może się trochę opalić (co było cholernie głupim pomysłem bo jakkolwiek plaże były tu rozległe, to nie było nawet krzty zbiornika wodnego), otworzyła shadownet.

- Po... Pa... Pałaki szyprowane. – Tak właśnie miał brzmieć standardowy dźwięk ustanowienia łączności z shadownetem według pijanej mandalorianki. Satine zachwiała się ponownie i rabnęła głową w stół, czemu towarzyszył wybuch śmiechu i zadowolony uśmieszek Vaira, który pstryknął palcem na przechodzącą kelnerkę i wskazał pustą szklanekę Satine. Kolejna porcja bursztynowego alkoholu znalazła się w szkle i już wkrótce Satine nie miała stanowić najmniejszego problemu aż do następnego poranka, kiedy to wstanie tak jakby właśnie nie dokonała gwałtu na swojej wątrobie. Cóż, z pewnością starała się pić jak Zeltron i rano wstawiała świeżutka, ale nie była w stanie utrzymać się na nogach przy podobnej ilości alkoholu co ich piękni, różowoskórzy kosmici...

Wtedy go zobaczyła. Mandalorianin, za którego głowę oferowana prawdziwą fortunę i który miał zniszczyć dobrze prosperującą organizację. Oczywiście w tym momencie, oczyma wyobraźni, widziała go podwójnie. Tak się też szczęśliwym zbiegiem okoliczności złożyło, że dosłownie minuty temu widziało go jak wchodzi do kliniki, zaraz zaś za nim grupę uzbrojonych po zęby istot. Wtedy sobie nawet nic na ten temat nie pomyślała, ale teraz? Jej brat z Mandalore miał kłopoty i ona miała zamiar mu pomóc! A przynajmniej ostrzec. Historia teraz zaczęła zataczać coraz bardziej fantastyczne tory i mieszać prawdę z półprawdami i kłamstwami. Opowiadała o tym jak wpadła do kliniki z blasterami i miotaczem ognia (półprawda), o tym jak go wsadzili do konwoju (prawda) i o tym jak wsiadła na ścigacz i rozpoczęła pościg, strzelając z zamontowanych tam działek laserowych (co za bzdura...), niszcząc dobrą połowę pojazdów i większość przeciwników nim siepacze Huttów wezwali wsparcie w postaci myśliwców i musiała wykonać taktyczny odwrót, bo przecież ona nigdy w życiu by nie uciekła, o co to to nie!

- **Wziiuuuuuuuaaa..... Szu-szu-szu...** - Satine wydawała dźwięki ścigacza i niebezpiecznie wychyliła się w bok, imitując wykonanie zakrętu. - **Zziiuuuu! Sssssshhhiiii! BUM BOOM BUDUBUM.** - A teraz myśliwców i dźwięki jakie wydały przy strzale. A przynajmniej tak to chyba miało brzmieć. Oczywiście Satine uciekła myśliwcom, kryjąc się w jaskini w kanionie i jeszcze tego samego dnia miała wdrzeć się do pałacu Hutta w którym Vair był przetrzymywany i go uwolnić! Oh, oczywiście nie miało być to takie proste, inaczej nie byłoby to aż tak bohaterkie. Vair w tym momencie miał walczyć o życie na arenie przy użyciu mieczy, noży, włóczni i zębów, podczas gdy Satine wdarła się do podziemi pałacu. Tam też dowiedziała się o walkach niewolników i o tym, że Pimpus (to jest rancor należący do Hutta) ma być główną atrakcją walk i jeszcze nie został wyprowadzony. Jak łatwo można było się domyślić ujarzmiła potężną bestię i.... !

- **Graaaah! Raaahr!** - Mandalorianka zaczęła imitować dźwięki wydawane przez rancora i swoimi rękami udawać jego małe łapki, miotając się na lewo i prawo. Straciła przez to raz jeszcze równowagę, której już nie odzyskała. Szczególnie, że zaraz obok niej pojawiła się wreszcie Marla, w jednym ręku niemalże tryumfalnie dzierżąc butelkę dziwnie niebiesko świecącego się trunku, a palcem drugiej, wolnej dłoni dokonała ataku na ramię Satine, delikatnym pchnięciem wspomagając nieprzebłagane siły grawitacji przez co różowo włosy, z łoskotem ginącym w zgiełku baru, wyładowała na podłodze i się z niej nie podniosła.

- **Nie przejmuj się, Vair. Może w waszej, mandaloriańskiej kulturze jest już dorosła, ale to wciąż dziecko według większości galaktycznych standardów.** - Powiedziała. - **I z całą pewnością swoim zachowaniem to udowadnia.** - Kobieta przysiadła się obok niego. Choć nosiła ona mandaloriańską zbroję, to sama mandalorianką nie była. Marla była niebiesko skórą Twi'lenką, która pancierz miała zdobyć „legalnymi środkami”. Vairą, a Satine tym bardziej, denerwowało to, że Marla nosiła tę zbroję. Z drugiej jednak strony, pomogła Satine uwolnić Bluhla, nawet jeśli ta rzadko kiedy o tym wspominała innym osobom. Znowu też i sama Marla nie przepadała szczególnie

za Satine. Ta, najmłodsza z ich grona i wychowana w wojowniczej kulturze miała tendencję do brutalnych i bezlitosnych zachowań – eliminowania osób, które uważała za potencjalne zagrożenie w trakcie misji, nawet jeśli byli bezbronnymi cywilami. Ostatecznie jednak ich trio, uzbrojone w pistolety i karabinki blasterowe, granaty, ciężki pancerze i snajperkę stanowiło groźną siłę i ciężko było się rozstać i próbować znaleźć nowych towarzyszy. Nawet jeśli się jej to nie podobało, to polegała na Satine. Odrobinę. Oczywiście tego jej jeszcze nie powiedziała i nie miała zamiaru. Vair to co innego, jemu mogłaby to powiedzieć. Głupek – dał się złapać łowcom nagród. Uśmiechnęła się nieco pod nosem.

- **A wy ...** - tu zwróciła się do dotychczasowych słuchaczy Satine. - **Nie słuchajcie tej, tam. Na dole. Ja wam powiem co tak naprawdę wydarzyło się na Tatoonie...** - Marla rozpoczęła snucie opowieści swym uroczym głosem. A może to jej piękne i wręcz hipnotyczne lekku sprawiało, że słuchacze patrzyli się na nią jak oczarowani i spijali każde słowo z jej ust, tak jak ona spijała kolejne krople błękitnego trunku ze swojej szklanki.

- **Zawsze chciałam pomagać innym osobom i marzyłam żeby zostać lekarzem. Prawda jest jednak taka, że na Tatoonie o perspektywy i porządne wykształcenie ciężko. W tej, jednej z najgłębszych i najpaskudniejszych dziur w galaktyce liczy się szybki refleks, celne oko i porządny blaster. A ja odkryłam, że mam równie dobry talent do broni co i do anatomii. Wiedza gdzie wycelować karabin snajperski by uśmiercić kogoś jednym, celnym strzałem potrafi być przydatna jeśli przyjdzie ci walczyć z niektórymi rasami. Poza tym doszłam do wniosku, że można pomagać w różny sposób. Można leczyć choroby i opatrywać rannych, ale można też eliminować tych, które choroby przenoszą i rany zadają. Obie formy są pomocą. Można więc powiedzieć, że zdecydowałam się pracować w prewencyjnej ochronie zdrowia i życia.** - Zaśmiała się. - **W taki oto sposób dołączyłam do jednej z lokalnych szajek pracujących dla tutejszego Hutta. Zdecydowała się ich rozpracować od wewnątrz, dowiedzieć się kim są jej członkowie i gdzie zlokalizowane są ich operacje, a następnie zniszczyć.** - Westchnęła, zlustrowała swych rozmówców od góry do dołu i zarzuciła swym lekku do tyłu. - **Mężczyźni są tacy żałośni. Wystarczy, że piękna kobieta będzie potakiwać na każde ich słowo, a już wkrótce jesteś niezastąpiona i wprowadzona do wewnętrznego kręgu. Wtedy właśnie poznałam Vaira i Satine...**

- **Siedziałam wtedy w barze z moim „szefem”. Za głowę Vaira została właśnie wyznaczona ogromna nagroda, gdyż ten pokrzyżował właśnie wielką, czarnorynkową operację lokalnemu półświatkowi. Do tej pory nie wiem jak... Być może szczęście początkującego? Przeglądałam właśnie z nimi zlecenie na shadowneccie, gdy kątem oka zobaczyłam wyklócającą się przy barze, pstrokato ufarbowaną kobietę, nie, dziecko przy barze. Satine właśnie. Tej potężnej, ujeżdżającej rancory wojownicze nie chciano sprzedać alkoholu bo była za młoda, ha! - Rozległy się śmiechy i chichoty, a zaraz po nich głośne chrząknięcie spod stołu. Wyglądało na to, że nie sprzedawano jej nie bez powodu.** - **Gdy wściekła**

wychodziła nasze spojrzenia się skrzyżowały. Musiała też wtedy zobaczyć wyświetlaną przez nas nagrodę na hologramie wyznaczoną za Vaira. Nie spodziewałam się, że zdecyduje się pójść za mną i naszą grupą, ale to zrobiła... - Marla przepłukała gardło kolejnym niebieskim shotem i kontynuowała. - **Udaliśmy się do lokalnej kliniki, gdyż kontakt poinformował nas, że Vair był ranny i udał się po pomoc. Cholera, młoda była szybka. Wpadliśmy na nią na tyłach szpitala i błyskawicznie otworzyła w nas ogień, nawet zabiła jednego! Potem jednak, rozsądnie dała nogę. Było nas za dużo, a Vair został schwytany przez mojego szefa, Pajaka i Doktora. Moja rada, nigdy nie ufaj personelowi lekarskiemu na Tatooine. Połowa z nich to emerytowani łowcy nagród, a druga połowa to aspirujący łowcy nagród. W każdym razie, Vair został schwytany i w konwoju zabrany do Hutta, gdzie miał walczyć na arenie, a ja... Ja znalazłam Satine i wsadziłam jej pistolet między żebra, ha! Dała się podejść jak nowicjusz... W każdym razie, rozsądnie się poddała i równie rozsądnie zdecydowała się ze mną współpracować. Wspólnie pojechaliśmy do pałacu Hutta, podkradliśmy się do areny na której Vair miał walczyć i rozpoczęliśmy szturm. Nie spodziewałam się, że zacznę od próby zniszczenia małej szajki, a skończę na samobójczej misji w leżu największego gangstera planety, ale co tam, raz się żyje!**

- **Jak się zdołaliśmy podkraść? Oh, to było proste. Jedna ze ścieżek do areny była osłonięta skałami i zapadliskami, podeszliśmy tamtędy. Była oczywiście broniona, ale zdołaliśmy się pozbyć ochrony. Dwójkę Gamorrean wyeliminowaliśmy zsynchronizowanym strzałem - ja ze snajperki z odległości ponad stu metrów, a Satine prosto w podbródek, szczękę i mózg... Strzelała z pistoletu. Z bliska. Z przykucnięcia. Miała więc doskonały widok na jego podbródek od dołu.**

- **Potem przyszła walka z jednym z najlepszych wojowników i szermierzy na Tatooine. Totalnie zaskoczył Satine i chyba tylko cudem nie została posiekana na plasterki. Szczerze mówiąc, dziewczyna ma łeb na karku i jest całkiem sprytna. Zamiast z nim walczyć uczciwie i jeden na jednego, wystawiła mi go do strzału. BACH! Kolejny leży. A potem to już był totalny chaos... Dostaliśmy się na arenę, kolejny ochroniarz, zielony świniak, nas zobaczył i złapał dziewczynę za fraki i cisnął w tłum jak szmacianą lalkę, a reszta, jak to mówią, to już historia. Strzały z blasterów w każdą stronę, granaty, panikujący i uciekający tłum, Vair walczący na arenie o życie...**

- **W każdym razie, dotarliśmy do brzegu widowni, Vair zdołał się na nią wspiąć i rozpoczęliśmy odwrót. I wtedy wylądował między nami granat. Pamiętam do tej pory krzyk Satine, gdy to się stało: GRANAT! UCIEKAJCIE! I wyskoczyła zza swojej osłony prosto w ogień blasterowy siepaczy Huttów. Cóż, albo to albo zostaniemy rozerwani na kawałki więc i ja i Vair zrobiliśmy to samo. Cholera, nie mam pojęcia jakim cudem nikt nas nie trafił, ale Ślimak musi płacić swoim ludziom mniej. A reszta historii? A reszta historii nie jest warta opowiadania. Przebiliśmy**

się przez pierścień najemników przy użyciu blasterów i granatów, dokonaliśmy odwrotu tą samą drogą co przyszlismy i wialismy z planety tak szybko jak mogliśmy. Doszło do całkiem niezłego pościgu za nami i przebijalismy się przez dobrą część Mos Eisley nim wpadlismy na pierwszy lepszy statek i daliśmy drapaka...

- To brzmi jak niezła historia. Prawie tak nieprawdopodobna jak tej młodej. - Powiedział jeden ze słuchaczy.

- Pha! Nawet bardziej. Każdy wie, że nikt nie ucieka Huttom. Chodźmy stąd... - Powiedział kolejny machając ręką na te farmazony. **- Lepiej nie słuchać takich rzeczy.**

- No cóż, my ucieklismy... - Powiedziała Marla odchylając się na swoim krześle i kładąc nogi na stół.

- Mhm... Marla, czy... - Zaczął Vair, ale nagle gardłowy głos spod stołu kazał mu się zatrzymać w nasłuchiowaniu. Po chwili dało się zaś słyszeć chlupot, nieprzyjemny, kwasowy zapach i słaby głos Satine.

- Cho-cholera. Którrrryyy mi narz...yagł do helmu?

- Idziemy stąd? - Marla zwróciła się do Vaira.

- Tak. Satine... ? - Odpowiedział jej Mandalorianin.

- Nie. - Twi'lenka nie pozwoliła mu nawet dokończyć.

- Eee... Cze-ajcie. Nie m... mam... kredytów! Haaloo! - Starła się krzyczeć i czołgać się w ich stronę cierpiąca katusze wirującej podłogi Satine. Ci jednak tylko przyspieszyli kroku. Oh, nie mieli zamiaru jej zostawić samej. To znaczy, porzucić. Po prostu zdecydowali się zmienić bar i zaznać trochę spokoju od jej obecności. Wdzięczność i braterstwo broni miały jednak swoje granice, a przelewające się wymiociny z helmu były jedną z nich.

Praca konkursowa napisana przez Satine Wren;